

Świadeństwo Johna i Barb Fenn – części 1-6 + epilog

Czuję potrzebę, by podzielić się naszym świadectwem i doświadczeniami, jakie mieliśmy z Panem, a także dobrymi i złymi decyzjami, które podejmowaliśmy, by inni mogli się z nich wyciągnąć jakąś naukę.

Znamy się z Barb od dziecka.

Nasi rodzice należeli do tej samej grupy towarzyskiej i znali się, gdy dorastaliśmy w połowie lat 60., więc wszystkie rodziny miały dzieci w podobnym wieku. Dodatkowo, mój dziadek był lekarzem rodziny Barb i mieszkał zaledwie dwie przecznice od niej i jej rodziny.

Bycie częścią tej samej grupy towarzyskiej oznaczało, że Barb i ja bywaliśmy razem na tych samych urodzinach naszych wspólnych przyjaciół. Pamiętam ją dopiero od około ósmego roku życia, ale w tym czasie była tą „okropną dziewczyną”, więc nie zwracałem na nią uwagi.

Przenieśmy się do czasu, gdy mieliśmy po 12 lat. Barb miała najlepszą przyjaciółkę - Margaret, która mieszkała obok mnie i chodziła do tego samego kościoła co ja (do dziś jesteśmy bliskimi przyjaciółmi). Barb uczęszczała do innego kościoła. Tak więc ja i Margaret przyjaźniliśmy się, lecz Barb jeszcze wtedy bliżej nie znałem — pozostawała tylko we wspólnym kręgu towarzyskim.

Barb i Margaret były bardzo psotne i znane z tego w okolicy. W niedziele po nabożeństwie często chodziliśmy do dziadków na obiad, a widzieliśmy, jak Barb i Margaret bawiły się na podwórku. Moi dziadkowie uważali je za niegrzeczne dziewczyny i nie pozwalali mi wychodzić na zewnątrz, by się z nimi bawić. Jednak widziałem je przez okno. Ważne jest, by zrozumieć, że Barb była „niespodzianką” dla swojej mamy, urodzoną w wieku 40 lat – więc tak naprawdę nie była chciana. Miała siostrę i brata starszych od niej odpowiednio o 9 i 12 lat. Rodzice Barb zaczynali dzień od picia alkoholu i robili to aż do późnej nocy. W tym domu było wiele dysfunkcji i przemocy, więc Barb była bardzo nieszczęśliwa.

Moi rodzice zbudowali dom na wsi, około 4 mile (6,4 km) na zachód od dzielnicy Barb, w innym okręgu szkolnym. Jestem najstarszym z czwórki rodzeństwa, a mój tata odziedziczył po swoim ojcu i dziadku zakład pogrzebowy. W tamtych czasach Fenn Funeral Home prowadził także pogotowie ratunkowe, więc w naszym domu był oddzielny telefon służbowy. Gdy ten telefon dzwonił, wszyscy musieliśmy uciszyć się, jakby tata był w biurze. Odbierał telefon swoim „biurowym głosem”: „Zakład pogrzebowy Fenn, w czym mogę pomóc?” Po zakończeniu rozmowy mogliśmy znów się bawić, oglądać telewizję lub rozmawiać.

Tata był wymagający i chodził do naszego kościoła episkopalnego (anglikańskiego), bo było to dobre dla jego interesów. Mama chodziła, bo naprawdę wierzyła. Mieszkaliśmy w dwupoziomym domu, gdzie dolna kondygnacja miała drzwi prowadzące na zewnątrz. Tata miał warsztat w piwnicy i tam strzygł nam włosy. My, trzech chłopcy, mogliśmy mieć

dowolną fryzurę — pod warunkiem, że była to fryzura wojskowa. Wyglądaliśmy jak żołnierze na szkoleniu podstawowym. Nasza siostra była najmłodsza i doskonale to wykorzystywała.

Będąc najstarszym z czwórki dzieci, mam dobre wspomnienia z tatą.

Nauczył mnie mocnego uścisku dłoni, jak czyścić buty, patrzeć ludziom w oczy — i jakoś zawsze czułem, że przygotowuje mnie do przejęcia rodzinnego biznesu albo przynajmniej do bycia kimś w życiu. Przy stole tata siedział na jednym końcu i „komenderował” posiłkiem, mama na drugim, a my – dwoje dzieci po każdej stronie. Siedzieliśmy prosto, jedną rękę trzymaliśmy na kolanach, i kolejno opowiadaliśmy o naszym dniu w szkole, jakbyśmy nadal byli w klasie i składali sprawozdanie. Ale przy stole bywało też dużo śmiechu.

To były dobre czasy. Tata zabierał nas na biwaki i nauczył mnie, jak postugiwać się nożem, wiązać węzły, rozpalać ognisko i jak je prawidłowo zgasić. Zanim opuszczaliśmy obóz, mówił: „czyścimy obóz, chłopcy” — co oznaczało, że zbieraliśmy każdy kawałek śmieci. Zapytałem kiedyś, czy muszę podnieść z ziemi czyjś niedopałek papierosa, a tata odpowiedział lekcją, według której żyję do dziś: „Zawsze zostawiaj rzeczy, z których korzystasz albo które pożyczasz, w takim samym stanie, w jakim je zastałeś – albo w lepszym”.

Rozwód

Aż do lutego 1969 roku, kiedy miałem 11 i pół roku, mieliśmy dobre, uprzywilejowane życie. Tata odziedziczył po swoim ojcu duży jacht, który cumował nad jeziorem Michigan w Holland, na północ od naszego domu. Mama odziedziczyła domek letniskowy swoich rodziców jeszcze dalej na północ, nad jeziorem Burt, około 25 mil (40 km) na południe od wyspy Mackinac. Latem pływaliśmy między jednym a drugim miejscem. Gdy miałem 8 lat tata nauczył mnie żeglować na małym jachcie typu Sunfish, który przypominał deskę surfingową z żaglem. Nauczył mnie, jak zamontować ster i miecz, jak postawić żagiel. Wy płynął ze mną i celowo przewrócił łódkę, by nauczyć mnie, jak ją postawić z powrotem. Gdy miałem 8 lat mogłem żeglować po całym jeziorze, tylko musiałem pozostawać w zasięgu wzroku.

W lutym 1969 roku wszystko się zmieniło. Posadzono nas na kanapie, a mama i tata usiedli naprzeciwko. Tata powiedział, że on i mama się rozwodzą. Nie zaliśmy wtedy znaczenia tego słowa, bo żadne z naszych znajomych dzieci nie miało rozwiedzionych rodziców. Gdy moja 5-letnia siostra zapytała, co to znaczy, tata odpowiedział: „Nie będę tu na urodziny, święta, Boże Narodzenie. Odchodzę, rozwodzę się z waszą mamą i rozwodzę się z wami, dziećmi”.

To zabrzmiało tak okrutnie w naszych sercach, jak brzmi nawet teraz, gdy to piszę. Zdaję sobie jednak sprawę, że tata nie chciał być okrutny — był po prostu bardzo analityczny i tak to widział.

Dotrzymał słowa. Moi bracia i ja przestaliśmy liczyć, gdy liczba złamanych obietnic przekroczyła 23. Mówił, że przyjdzie na nasz mecz baseballa albo że zabierze nas na lody, ale nigdy tego nie zrobił. Dziesiątki razy obiecywał, że będzie o 16:00, by nas gdzieś zabrać — i nigdy się nie pojawił.

Dla mnie wiek od 12 do 16 lat był najtrudniejszym okresem w życiu. Odrzucony przez ojca nie tylko raz, ale dziesiątki razy przez jego złamane obietnice — bardzo mi go brakowało. Byłem wściekły na tę niesprawiedliwość. Dlaczego porzucił czwórkę własnych dzieci, by teraz wychowywać dwójkę dzieci swojej nowej żony? Moje stopnie w szkole spadły z poziomu wzorowego do ledwie zaliczających lub nawet niezaliczających. Zostawiłem wszystko, bo przestało mi na czymkolwiek zależeć. Zero motywacji, ambicji, nadziei. Byłem dzieckiem udającym, że obchodzi je jego przyszłość.

W wieku 12 lat przystąpiłem do bierzmowania w Kościele Episkopalnym razem z Margaret. Przyszła ona wtedy z Barb i spotkaliśmy się na schodach przed kościołem. Odezwła się do mnie i pomyślałem, że jest bardzo ładna. Miałem jednak 12 lat, rude włosy, nadwagę, wystające zęby i miałem na sobie najbrzydszy zielony wełniany garnitur, jaki można sobie wyobrazić. Barb powiedziała coś do mnie, a ja tylko się jękałem, więc ona — bardzo bezpośrednia — powiedziała coś w stylu: „Co z tobą nie tak, gamoniu? Nie umiesz mówić?“, po czym odwróciła się i zeszła po schodach. Ach... moja przyszła żona. :)

+++

Rozwód sprawia, że dzieci zaczynają myśleć o różnych rzeczach.

Odejście taty wpłynęło na nas - czwórkę dzieci, w różny sposób. Mieliśmy wtedy odpowiednio 11, 9, 7 i 5 lat, i idealnie wpisywaliśmy się w role dzieci z rodzin dysfunkcyjnych: byliśmy bohaterem, klaunem, kozłem ofiarnym, a nasza najmłodsza siostra była maskotką – w takiej właśnie kolejności. Ale w głębi serca szukałem ojca. Moje życie właśnie się zawaliło. W gronie naszych znajomych byli chłopcy w moim wieku: Emerson i Trip, z którymi przyjaźnię się do dzisiaj. Ich rodziny były na tyle uprzejme, że często zapraszały mnie do wspólnych aktywności rodzinnych. Rodziców Tripa nazywaliśmy „wujek Del i ciocia Betsy” i byliśmy naprawdę blisko.

Wszyscy moi przyjaciele mieli ojców obecnych w ich życiu, więc ja czułem się bardzo niepewnie i samotnie. Kiedy tata powiedział: „Rozwodzę się z twoją mamą i z wami, dziećmi” – cały kontekst, przez który patrzyliśmy na świat, zawalił się. Przestałem interesować się szkołą, zrezygnowałem z harcerstwa, lekcji rysunku, perkusji, pływania (nauczyciel chciał, żebym trenował wyczynowo), a później także z kursu nurkowania i lekcji pilotażu. Po prostu nic już mnie nie obchodziło. Tkwiłem w apatii, w głębi duszy pragnąc ojca.

Gdy miałem 14 lat, gdy w sklepie zoologicznym w centrum handlowym zobaczyłem małą matpkę na sprzedaż i bardzo jej zapragnąłem. Była najmniejsza z kilku dostępnych,

najbardziej wątpa i przestraszona, kurczowo trzymająca się innych – emocjonalnie była jak ja. Utożsamiałem się z nią. Na początku lat 70. można było jeszcze kupować egzotyczne zwierzęta w sklepach zoologicznych. Mama zauważyła, że cierpię, i później powiedziała, że miała nadzieję, iż opieka nad nią choć trochę mnie ukoi. I miała rację.

Nazwałem ją Tilly. Sąsiad (ojciec mojego przyjaciela) zbudował dla niej dużą klatkę. Tilly i ja staliśmy się nierozłączni. Szybko nauczyłem ją załatwiać się do klatki, a na zewnątrz wyprowadzałem ją w uprzęży i na smyczy. Uwielbiała wspinać się na drzewa, a wieczorami jeść ćmy i chrząszcze krążące wokół światła na ganku.

Z perspektywy czasu widzę, że to Ojciec (Bóg) zatroszczył się o mnie, stawiając na mej drodze ojców moich przyjaciół, oraz także Tilly.

Ona dała mi powód, by żyć. Miałem ją tylko przez około rok. Padła na moich kolanach w drodze do weterynarza. Weterynarz później powiedział, że miała wrodzoną wadę jelit, które z czasem się skręciły i to doprowadziło do jej śmierci. Kilka tygodni później, w maju, skończyłem 15 lat.

Był już rok 1973 - początek mojego drugiego roku liceum, a Barb zaczęła pierwszy. Nadal byłem apatyczny – w pierwszym semestrze dostałem z algebry ocenę niedostateczną i wciąż szukałem ojca. Chodziłem na lekcje niemieckiego – to był jedyny przedmiot, który naprawdę mnie interesował, bo prawie urodziłem się w Niemczech. Tata służył w pobliżu Stuttgartu w latach 1957–58, gdy mama wróciła do USA, żeby mnie urodzić, a tata w tym czasie kończył służbę. W tamtym czasie młodzi mężczyźni musieli odsłużyć obowiązkowo dwa lata w wojsku. Kiedy rodzice chcieli powiedzieć coś, czego nie powinniśmy słyszeć jako dzieci, przechodzili na niemiecki – dlatego bardzo chciałem się go nauczyć.

Na lekcji niemieckiego poznałem Janny, katoliczkę, z którą nadal się przyjaźnimy. Pracując razem nad projektami klasowymi, zaprzyjaźniliśmy się. Pewnego dnia porównywaliśmy nasze kościoły – ona była katoliczką, ja episkopalnym – i zauważyliśmy, że nasze niedzielne nabożeństwa mają tę samą liturgię. Jednego dnia powiedziała: „Znam Boga, który stoi za tą liturgią”. Zaintrygowało mnie to. Pragnąłem poznać Boga Ojca, ale nie byłem pewien, jak. Obserwowałem, jak Janny i jej chłopak Vic (późniejszy mąż) modlili się o różne sprawy, i wszystkie modlitwy były wysłuchiwane - jedna po drugiej. Po pewnym czasie, widząc to wszystko, oddałem swoje serce Panu i Ojcu.

Stojąc w swoim domu, upewniwszy się, że jestem sam, powiedziałem na głos: „Jezu, jeśli to Ty masz ostatnie słowo w moim życiu, to sensowne jest, abym zaczął Ci teraz służyć. Nieważne, co inni o mnie pomyślą – ostatnie słowo należy do Ciebie i stoisz po mojej stronie, to oddaję Ci swe życie. Zrób ze mną, co chcesz”.

Spotykam Barb w wieku 15 lat

Gdy miałem 15 lat Ojciec przywodził mnie do Jezusa przez Janny. We wrześniu 1973 roku, w 10 klasie, najlepsza przyjaciółka Barb i jej sąsiadka - Margaret, zaprosiła mnie na jesienny bal w ich szkole. Mając 15 lat nie mogłem jeszcze prowadzić samochodu – mama podrzuciła mnie do ich domu, a tata Margaret odwiózł mnie później z powrotem.

Mama wypożyczyła dla mnie jasnoniebieski smoking. To były lata 70-te, więc koszula miała falbanki. Miałem afro – naturalnie kręcone, długie włosy. Moje włosy z rudych stały się bardziej blond, a aparat ortodontyczny wyprostował moje wystające zęby.

Barb, mieszkająca obok Margaret, przyszła zobaczyć nas wystrojonych na bal. Właśnie skończyła 15 lat, zaczęła 9 klasę i zdjęto jej aparat z zębów. Nie pamiętam sukienki Margaret, ale Barb miała na sobie bordową bluzkę i dżinsy, i jak zwykle będąc zadziorną powiedziała: „Ooo Margaret, ale on przystojny. Margaret, ale on wysoki. Margaret, i co teraz zrobisz?” – i inne tego typu komentarze.

Jeszcze niedawno byłem pucotowatym 12-latką z wystającymi zębami, w brzydkim zielonym wełnianym garniturze, a teraz – wysoki, szczupły 15-latek z afro – już nie taki niezdara! :)

Nigdy potem nie umówiłem się już na randkę z Margaret.

Tak, dojrzewanie zmienia „okropne dziewczyny” i „niezdarnych chłopców” – gdy ujrzałem Barb, to był szach-mat. Widziałem się z Margaret jeszcze w trakcie roku szkolnego, głównie w kościele, lecz z Barb nie widzieliśmy się ponownie aż do kolejnego lata.

Latem 1974 roku Margaret (16) i Barb (15) przyjechały do mnie rowerami – miały 4 mile do pokonania. Kolejne 4 mile dalej znałem potok, który właśnie wylał, więc wpadliśmy na pomysł, żeby w nim popływać. Potok przepływał przez pole golfowe, więc brzegi były ładnie utrzymane – łatwo było wyjść tam z wody, pływać pod prąd i znów płynąć z nurtem. Patrząc wstecz – cud, że nie utonęliśmy. Wiedzieliśmy, żeby trzymać nogi przy powierzchni, żeby nie zaplątać się w podwodne gałęzie – ale mimo wszystko to było głupie.

Mieliśmy kilka innych wspólnych przejażdżek rowerowych, ale przełom nastąpił dopiero pod koniec lata, kiedy Barb złamała nos. Tego lata zrobiłem prawo jazdy i pojechałem na basen do znajomego Barb i Margaret. Było nas około dziesięciu. Woda w basenie była zielona od glonów, ale kogo to obchodziło... Wcześniej przecież pływaliśmy w potoku, który wylał!

I właśnie tam, w tej zielonej wodzie, nasza wspólna znajoma Kim (nadal dobra przyjaciółka), przypadkowo kopnęła Barb w nos i go złamała. Wszyscy się rozeszli gdy rodzice Barb zabrali ją do lekarza. Bardzo ją lubiłem, ale byłem zbyt nieśmiały, by jej to do tego czasu okazać. Nie czułem wtedy, że Pan prowadzi mnie w jej kierunku, ale wśród

wielu ludzi to z nią chciałem spędzać czas i lepiej ją poznać. Od początku było jakieś porozumienie między nami.

Kupiłem swój pierwszy samochód:

GTO z 1965 roku, z tłumikami Thrush i dźwignią Hurst (może niektórym z was coś to mówi). Słysząc mnie było z odległości kilku przecznic. Byłem bardzo zainteresowany Barb, ale wciąż bardzo nieśmiały. Chciałem jej pokazać, że mi się podoba, ale nie miałem odwagi pojechać sam, więc zabrałem ze sobą Tony'ego Cooke'a. Barb była zawstydzona – miała zabandażowany nos – ale zauważyła, że mi na niej zależy, choć do końca nie czytała moich intencji, bo taki byłem nieśmiały. Może wciąż widziała we mnie trochę tamtego niezdarę sprzed lat. Miała jeszcze 15 lat, ja ledwo 16.

Kilka tygodni, gdy jej nos się wygoił, zebrałem się na odwagę, by zaprosić ją na randkę. Poszliśmy do kina, a gdy nie chciałem jeszcze kończyć wieczoru, przejeżdżając obok Dunkin' Donuts, zapytałem, czy ma ochotę na pączka. Weszliśmy, wydałem ostatnie pieniądze i długo rozmawialiśmy. Odprowadziłem ją do drzwi, a ponieważ mam 198 cm wzrostu, a ona tylko 161 cm, stanęła o jeden stopień wyżej i pocałowaliśmy się na dobranoc.

Później powiedziała, że już wtedy wiedziała, że mnie poślubi. Byłem pierwszym chłopakiem, który otwierał przed nią drzwi, nie narzucił się i po prostu chciał z nią być. Kilka tygodni później, gdy jąkałem się, próbując zapytać, czy zostanie moją dziewczyną, przejęła inicjatywę mówiąc: „Próbujesz zapytać, czy chcę z tobą chodzić, tak? To zgadzam się!” – jak zawsze bezpośrednio ;). Od tego momentu jesteśmy razem. Cztery lata później, we wrześniu 1978 roku, pobraliśmy się. Jak ten czas leci...

+++

Prowadzę Barb do Pana

Barb i ja od początku naprawdę się polubiliśmy. Rozśmieszaliśmy się nawzajem i dużo śmiałyśmy – i wciąż to robimy po tylu latach. Kochamy przyrodę i na wielu randkach spędzaliśmy czas rozmawiając o budowaniu wspólnego życia, dzieciach, wychowaniu i wszystkich rzeczach, o których młoda para powinna rozmawiać gdy poznają się nawzajem. Jedną z rzeczy, o których z nią rozmawiałem, był Pan.

Wiele naszych randek, szczególnie przez pierwsze 6 miesięcy, wyglądało tak, że siadaliśmy razem na kanapie w jej piwnicy, a ja odpowiadałem na każdy argument, jaki miała przeciwko wierze w Boga. Gdy ją poznałem, była ateistką, a co gorsza – zajmowała się bardzo ciemnymi rzeczami. Jednak w czasie jesieni i zimy 1974–75 zaczęła dostrzegać obecność Ojca i Jezusa w moim życiu. Pewnego dnia, gdy była całkowicie sama, powiedziała:

„Boże, jeśli jesteś prawdziwy i to, co mówi o Tobie John, jest prawdą, to lepiej teraz mi się objaw...” Powiedziała, że natychmiast pojawiła się chmura, z której sypnęła na nią Jego

bezwarunkowa miłość i wtedy już wiedziała, że Jezus i Ojciec istnieją naprawdę. Nigdy już nie oglądała się za siebie. Od samego początku miała serce dla sprawiedliwości, pokuty i świętości – i dziś jest równie żarliwa, jak wtedy.

Latem, kiedy kończyłem szkołę średnią (Barb była rok niżej), razem z dwoma innymi chłopakami pojechaliśmy do domku nad jeziorem, aby tam pościć i nawzajem ochrzcić się w wodzie. To właśnie w ten weekend po raz pierwszy usłyszałem głos Pana. Ojciec przemawiał do mnie wiele razy, ale nigdy wcześniej nie słyszałem Jezusa. Ostatnia piosenka albumu „Evergreen” Nancy Honeytree, autorstwa Larry’ego Normana, nosiła tytuł: „I Am Your Servant” (Jestem Twoim sługą).

Miałem niskie poczucie własnej wartości i nie wierzyłem, że Pan mógłby mnie do czegoś użyć.

Że tak się wyrażę - złożyłem swoje życie na ołtarzu, po raz kolejny prosząc Go, by mnie użył, jeśli tego chce. Jednak w duchu nie wierzyłem, że jest to możliwe. Gdy piosenka „I Am Your Servant” dobiegła końca, nagle w sobie usłyszałem głośny głos: „Kocham cię, John”. Byłem tak zaskoczony, że odpowiedziałem: „Ja... ja... ja też Cię kocham, Panie”. „Otwórz Jana 14:27”. „Teraz, Panie?” „Tak, teraz”.

Więc otworzyłem: „*Pokój zostawiam wam; pokój mój daję wam. Nie tak, jak daje świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze ani się nie lęka*”. W tej chwili wiedziałem, choć dalej wydawało się to niemożliwe, że On przyjął moją ofertę.

Rodziny Barb i moja miały związki z Uniwersytetem Indiana, więc wybór uczelni był w zasadzie przesądzony. W sierpniu 1977 zaczynałem drugi rok studiów, a Barb pierwszy. Mieszkałem w domu bractwa studenckiego, a ona w akademiku – dzieliło nas ok. 5 km. We wrześniu modliliśmy się w moim pokoju o naszą przyszłość. Wiedzieliśmy już, że jesteśmy powołani do służby, więc dyplom ukończenia uczelni nie miał dla nas większego znaczenia, jednak pozostaliśmy tam z posłuszeństwa rodzicom.

Podczas modlitwy Barb miała wizję, jak stoi z Panem i patrzy na góry.

On położył każdą rękę na jej ramionach i odwrócił ją, by spojrzała na równinę przed nimi. Była pełna pszenicy, a każda główka pszenicy miała ludzką twarz. W tym samym czasie prorokowałem to, co On do mnie mówił. Powiedział, że chce, byśmy pojechali do Boulder w Kolorado, leżącego u podnóża Gór Skalistych. Powiedział także: „W czasie przerwy świątecznej Twój tata odetnie ci pieniądze. Chcę, abyś spędził czas na poście i modlitwie a ja nauczę cię wielu rzeczy”. Potem powiedział mi prywatnie: „Za rok o tej porze możesz być żonaty”.

Barb opuściła dom mojego bractwa o 00:30. Odprowadziłem ją do drzwi i patrzyłem, jak oddala się chodnikiem. Gdy dotarła do akademika, podekscytowana zadzwoniła do mnie i powiedziała, że dwóch dużych aniołów odprowadziło ją do akademika. Mieli na sobie workowate spodnie i szaty, a ludzie idący chodnikiem naprzeciw niej, omijali ją

szerokim łukiem. Powiedziała też, że w momencie, gdy położyła rękę na klamce drzwi – zniknęli.

Zgodnie ze słowami Pana, w czasie świąt tata odciął mi środki. W styczniu 1978 ponownie mieszkałem w domu – 19 latek, który rzucił uczelnię, poszcząc, modląc się, chodząc na spotkania modlitewne i nakładając ręce na każdego potrzebującego uzdrowienia. W tym czasie Pan uczył mnie o uzdrowieniu a ludzie zaczęli mówić o mnie jako o „guru”. Barb dokończyła swój pierwszy rok na Indiana University. W lutym moja mama była już tak sfrustrowana mną – zdrowym ale głodnym 19-latkim, który cały czas się modli i pości, że w ciągu tych 90 dni poszła z tym do Pana. Jednak On za każdym razem mówił jej: „Cierpliwości. To pochodzi ode Mnie”.

W marcu, czując że mój czas postu i modlitwy dobiega końca, oświadczyłem się Barb i ustaliliśmy datę ślubu na wrzesień – zgodnie ze słowem od Pana sprzed 6 miesięcy. Bezrobotny, bez auta, mieszkający u mamy a ślub miał być już za pół roku... Rodzice Barb myśleli, że zwariowaliśmy.

W kwietniu mama wróciła z modlitewnego spotkania w kościele i powiedziała:

„Pan przemówił do mnie. Masz lecieć do Tulsy w Oklahomie”. Zadzwoiła do swojego agenta podróży i zarezerwowała lot na następny dzień. To było szybkie. Poleciałem mając 9 dolarów w kieszeni (wszystkie moje pieniądze) oraz kartę kredytową mamy. Wynająłem samochód i znalazłem motel. Jedyne dwie rzeczy, o których słyszałem o Tulsa, to Uniwersytet Orala Robertsa (ORU) i szkoła biblijna Rhema, która rozpoczęła działalność 4 lata wcześniej. Zacząłem właśnie wypełniać podanie o pracę w ORU, ale poczułem w sobie duchowy ciężar, więc przestałem i wyszedłem. Udałem się do Rhemy, gdzie nagrywano program telewizyjny z nauczycielem Kennethem Haginem i usiadłem na widowni. Nic nie wiedziałem o tej szkole.

Tego wieczoru, nie wiedząc, co dalej robić, z 7 dolarami w kieszeni, uklęknąłem i zapytałem Ojca, czego ode mnie chce. Miałem wizję, w której unosiłem się nad rzeką, która była powstrzymana zaporą. Zapora się otworzyła i woda wy płynęła, a na niej litery układające się w słowo „Charlotte”. Zadzwoiłem do mamy i zapytałem, co jest w Charlotte? Odpowiedziała, że to w Karolinie Północnej i jest tam służba „The PTL Club”. Powiedziała też, że jej sąsiadka – Betty, wcześniej tego dnia odkurzała, gdy Pan stanął przed nią i powiedział: „Wysyłam Johna do The PTL Club”. Mama powiedziała: „użyj mej karty” i już następnego dnia siedziałem w samolocie do Charlotte.

Wszedłem do biura zatrudnienia w The PTL Club i powiedziałem kobiecie przed sobą, że Pan mi kazał tu przyjechać. Spojrzała na mnie, jakby już tysiąc razy to słyszała. Powiedziała, że mają teraz zakaz zatrudniania. Jednak zapytałem, na jakie stanowisko mam aplikować? Spojrzała na mnie z wyrazem twarzy mówiącym „przecież właśnie ci powiedziałam...”, ale odpowiedziała: „Idź tam i się pomódl” – wskazując na boczny stolik. Pomodliłem się, a Ojciec powiedział: „Wpisz: 'Przewodnik wycieczek'”. Zrobiłem tak i wróciłem do niej.

Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

Powiedziała: „Kiedy tam byłeś, Pan przemówił do mnie i kazał mi cię zatrudnić. Poczekaj chwilę”. Zniknęła na kilka minut, po czym wróciła z informacją, że właśnie powiedziano jej, że zatrudniają dwóch przewodników. Natychmiast przeszedłem rozmowę rekrutacyjną. Gdy zobaczyli, że studiowałem „Zarządzanie rekreacją i parkami”, odbyłem drugą rozmowę z dyrekcją działu „Heritage USA”.

Był to duży kompleks, który dziś zajmują inne służby. W tamtym czasie było tam pole namiotowe, amfiteatr, domki wokół jeziora, itd. Zostałem zatrudniony 8 maja 1978 roku jako „strażnik parku”. Wpisanie na podaniu „przewodnik wycieczek” otworzyło mi drzwi. Nauczyłem się wtedy, jak Pan mnie prowadzi. On zna się i ma mądrość też w sprawach biznesu. Wpisanie „strażnik parku” nie dałoby mi tej pracy – ale Pan potrzebował tylko, bym przeszedł przez drzwi. Jego prawdziwy cel był inny.

Z biegiem lat nauczyłem się, że Pan czasem daje pracę, która nie jest tą, do której naprawdę mnie powołał – bo najpierw muszę zostać zatrudniony, aby On mógł mnie przenieść tam, gdzie naprawdę chce. Musi jednak poruszać się w ramach wolnej woli ludzi. Wielu chrześcijan odrzuca pracę, do której Pan ich prowadził, ponieważ to nie jest to, czego się spodziewali, nie rozumiejąc, że to tylko pierwszy krok – otwarcie drzwi.

Dlaczego Tulsa?

W sierpień 1978, miesiąc przed naszym ślubem, modliłem się, a Ojciec uczył mnie, jak być mężem, jak traktować żonę, itd. Prawie mimochodem powiedział: „A tak przy okazji – powód, dla którego wysłałem cię do Tulsy, to chcę, byś w przyszłym roku poszedł do szkoły biblijnej Rhema”. Zaskoczyło mnie to, ponieważ od kwietnia zastanawiałem się, po co tam w ogóle pojechałem.

Od razu zadzwoniłem do mamy, która akurat jadła obiad z przyjaciółką, której nie widziała od tygodni. Opowiedziała jej, co Pan mi powiedział, a ona odpowiedziała: „Wczoraj wieczorem, gdy się modliłam, Pan powiedział mi, że wysyła Johna do szkoły biblijnej i chce, żebym za to zapłaciła. Powiedz mu, żeby przesłał mi list przyjęcia do szkoły a opłacę mu cały rok”. (Tak zrobiłem, i ona też)

Pobraliśmy się z Barb we wrześniu 1978 roku, wiedząc, że latem następnego roku będziemy musieli się przeprowadzić do Tulsy. Ale ten pierwszy rok w The PTL Club był dla nas - nowożeńców, bardzo dobry. Zaczęliśmy wspólne życie daleko od rodziców – co było bardzo zdrowe. :)

+++

Pobraliśmy się we wrześniu 1978 roku, a w marcu następnego roku Barb zaszła w ciążę z Chrisem. W maju, gdy była w trzecim miesiącu ciąży i doświadczała wszystkich dolegliwości związanych z pierwszym trymestrem – mdłości, wahania nastroju i ogólnego złego samopoczucia – przejechaliśmy przez całe Stany Zjednoczone z Charlotte w Karolinie Północnej do Tulsa w Oklahomie (1640 km). Ja prowadziłem

wynajętą ciężarówkę przeprowadzkową, a ona jechała za mną naszym małym autem. Nie była to przyjemna podróż – zatrzymywaliśmy się, żeby Barb mogła wymiotować na poboczu, a pomiędzy wymiotami groziła, że wróci do mamy :).

Zanim opuściliśmy Charlotte, poprosiliśmy Ojca, że nie chcemy wynajmować mieszkania, lecz dom, ponieważ Chris miał urodzić się w grudniu. Ojciec odpowiedział mi: „Możecie wynająć dom... a potem dam wam ranczo”. Wzięliśmy z tego naukę - ranczo pojawiło się dopiero po 19 latach. W Bożym zwyczaju, między obietnicą a jej spełnieniem, często upływa sporo czasu.

Zgodnie z naszym zwyczajem, który praktykujemy do dzisiaj – zapisaliśmy nasze potrzeby na kartce papieru.

Już w wieku 22 lat nauczyliśmy się, aby uczciwie podchodzić do modlitwy, aby rozróżniać pomiędzy potrzebą a pragnieniem. To wymaga szczerzej rozmowy z samym sobą. Jeśli mówisz Ojcu, że czegoś potrzebujesz, kiedy to tak naprawdę tylko pragnienie – On nie zawsze na to odpowie, zwłaszcza jeśli to źródłem tego pragnienia jest pożądlivość lub chciwość. Jeśli jednak pragnienia są właściwe, to zauważyliśmy, że często na nie odpowiada. Psalm 37:4 mówi, że On spełnia pragnienia naszego serca, a nie to, czego nasze serce pożąda. Muszą to być właściwe pragnienia, zazwyczaj bezpośrednio związane z jakąś potrzebą. W Flp 4:19 czytamy, że On zaopatruje nasze potrzeby według swojego bogactwa w niebie.

Naszą potrzebą było: 3 sypialnie (jedna dla nas, jedna dla dziecka, jedna dla odwiedzających nas rodziców), co najmniej jedna główna łazienka i druga dodatkowa dla dwóch pozostałych sypialni, garaż oraz sprzęty AGD – poza pralką i suszarką, które mieliśmy zamiar kupić na miejscu.

Wśród pragnień zapisaliśmy: kolorystyka w odcieniach ziemi, wykładzina zamiast drewnianej podłogi czy kafli, kominek, okno nad zlewem w kuchni. Przekazaliśmy obie listy Ojcu, wzięliśmy autorytet nad diabłem, zakazując mu psucia czegokolwiek, i poprosiliśmy Ojca, by posłał swoich aniołów do działania. Już po tej modlitwie, dodałem potem w swoim wnętrzu (później powiedziałem o tym też Barb): „Byłoby miło, gdyby tam był też gotowy ogród, skoro przyjedziemy w maju”.

Po przybyciu do Tulsy, umówiliśmy się na oglądanie domu na wynajem. W drodze na to spotkanie zauważyłem w pewnej chwili znak „do wynajęcia”, stojący przed domem po lewej stronie. Moje serce podskoczyło i zahamowałem. „To jest to. To dom, który Ojciec dla nas przygotował”. Uznaliśmy, że właściwym będzie mimo wszystko pójść na wcześniej umówione spotkanie, więc tak zrobiliśmy. Kiedy tam dotarliśmy, odczuliśmy duchową pustkę – nie było tam życia – więc wiedzieliśmy, że mamy wynająć ten pierwszy dom. I tak też się stało – miał wszystko, co było na naszej liście potrzeb i pragnień: kolory ziemi, wykładzinę, kominek, okno nad zlewem.

Dom miał nawet ogród rosnący z tyłu, i byliśmy tym zachwyceni. Kilka dni później, gdy się wprowadziliśmy, wszystko było wysprzątane, ale ogród został wycięty do zera. Byłem zszokowany. „Co się stało?” – zapytałem Ojca. Tego dnia nauczyłem się kolejnej rzeczy:

„Nie pomyślałeś na tyle, by uwzględnić ogród w swojej modlitwie (choć go dla ciebie miałem), więc został nie chroniony i diabeł nakłonił ludzi, by go zniszczyli”.

Najpierw pojawia się łaska – czyli objawienie, które daje nam Ojciec lub Pan. Wiara jest naszą odpowiedzią na tę łaskę/objawienie. Gdy Ojciec powiedział: „Możecie wynająć dom w Tulsie” – to było objawienie/łaska. Jak powiedział Jezus w J 15:7 – kiedy On coś mówi do człowieka, ten może poprosić o coś, co się z tym wiąże i to się stanie.

Przykład: Noe otrzymał objawienie o nadchodzącym potopie i nakaz zbudowania arki – więc cokolwiek potrzebował do wykonania tego zadania, zostało mu zapewnione. My otrzymaliśmy nakaz, że możemy wynająć dom – więc powinniśmy byli odpowiedzieć na to objawienie/łaskę wiarą wystarczającą, by uwzględnić także ogród. O ludzie małej wiary...

Grudzień 1979 – Chris pojawia się na tym świecie cały siny.

Po ponad 15 godzinach porodu, Chris urodził się przez cesarskie cięcie. Wokół szyi miał owiniętą pępowinę. Jego wynik APGAR wynosił 4. Będąc rodzicami po raz pierwszy, nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Gdy miał 4 miesiące, moja mama zauważyła, że coś jest nie tak z jego napięciem mięśniowym – ale zignorowaliśmy to. Jednak w wieku 6 miesięcy nie potrafił jeszcze samodzielnie usiąść, leżał jak szmaciana lalka, nie wypowiedział ani jednego słowa.

W czerwcu 1980 roku Barb zabrała półrocznego Chrisa do lekarza. Przeprowadziliśmy się wówczas w okolice Boulder w stanie Kolorado, nie mieliśmy tam żadnej rodziny i dopiero zaczynaliśmy poznawać ludzi w kościele, do którego chodziliśmy – City on the Hill z pastorem Steve Shank’iem. To był dobry kościół i dobrzy pastorzy. W czasie wizyty lekarz powiedział Barb, że Chris ma porażenie mózgowe (MPD) – uszkodzenie mózgu powstałe podczas porodu. Powiedział jej, by oddała go do ośrodka i „zapomniata, że go kiedykolwiek miała”. Dodał, że nie ma powodu, abyśmy nie mogli mieć zdrowych dzieci – więc powinniśmy to dziecko oddać i żyć dalej.

Zapłakana i zdruzgotana Barb zadzwoniła do mnie do pracy. Tego wieczora wykąпалиśmy 6-miesięcznego Chrisa, położyliśmy go na puszystym dywaniku, aby wysechł i położyliśmy na niego ręce, odrzucając diagnozę i radę lekarza, i rozkazaliśmy, aby Chris był zdrowy. Ale 5 lat później Chris nadal nigdy nie usiadł, nie wypowiedział ani słowa, potrafił tylko turlać się po podłodze jak kłoda, zmieniając kierunek odpychając się ramionami.

Pewnej nocy, kiedy pracowałem do późna, Barb doszła do kresu swych sił.

Chris spał na górze w łóżeczku – mimo że miał prawie 5 lat – ponieważ z normalnego łóżka by się sturlał. Wylała przed Ojcem całe swoje serce, płacząc i błagając o odpowiedź na modlitwę, o uzdrowienie. Nagle z góry usłyszała głos: „Mamusi! Mamusi, patrz!” Pobiegła na górę i znalazła Chrisa siedzącego na łóżku, który mówił. To był prawdziwy cud, ale z jakiegoś powodu – został tylko częściowo uzdrowiony.

Od tego momentu Chris prawie nie przestaje mówić :) - cały czas komentuje ciężarówkę, auta, pociągi, ludzi – wszystko, co się wokół niego dzieje. Nie spotkał nigdy nikogo, nawet jakiegoś zwierzątko, którego by od razu nie polubił. Umysłowo zatrzymał się na poziomie 4-latkę, jednak pewne rzeczy rozumie ponad to.

Lata 1984–1985

Wielu ludzi z ruchu „Słowo Wiary” zastanawiało się w tamtym czasie, czy chodzenie do lekarza, posiadanie ubezpieczenia lub przyjmowanie leków nie jest przypadkiem „brakiem wiary”. Nowy lekarz Chrisa przepisał mu fizjoterapię, terapię zajęciową i logopedię. Chris miał już wtedy 6 lat, był gadatliwy, ale potrzebował pomocy w wymawianiu niektórych głosek.

Przyszedłem z tym do Pana, ponieważ to Jego rany przyniosły nam uzdrowienie jako część odkupienia. Powiedział mi: „Terapia nie jest 'brakiem wiary', ponieważ współpracuje ona z uzdrowieniem, a nie jest mu przeciwna”. Zapytałem, co ma na myśli? „Terapia sprawia, że części ciała poruszają się tak, jak zostały zaprojektowane – więc współdziała z uzdrowieniem”. Poprosiłem o fragment z Pisma, na poparcie tego, a On odpowiedział: „Czy nie rozumiesz, dlaczego powiedziałem człowiekowi z uszczą ręką, żeby ją wyciągnął, albo chromemu – by wziął swoje łożo i chodził?” (Mk 3:1–5, 2:1–12)

W czasie tej podróży odrobiliśmy wiele lekcji w temacie Bożych dróg. Mam nadzieję, że dzieląc się nimi, także i ty poznasz Jego drogi.

+++

Zakończyłem w zeszłym tygodniu obrazem 5-letniego Chrisa siedzącego w swoim łóżku, który po raz pierwszy zaczyna mówić. Wkrótce potem zaczął chodzić przy pomocy chodzika i ortez wykonanych z formowanego plastiku, które obejmowały jego stopę, piętę i tylną część łydki. Nie był całkowicie uzdrowiony, ale stał się „do ogarnięcia”.

Chris widział dzieci biegnące w telewizji i mówił rzeczy w stylu: „Kiedy pójdę do nieba, będę tak biegać”. Każdego wieczoru, gdy jest w domu i kładziemy go spać, mówię: „Przez Jego rany...”, a Chris odpowiada: „Zostałem uzdrowiony”. Ale został pozbawiony zdolności rozumienia czasu w taki sposób, że coś, co wydarzyło się 2000 lat temu, ma wpływ na niego teraz. Gdy miał 21 lat, pewnego dnia był bardzo podekscytowany, kiedy przyczołgał się do mnie korytarzem (jak żołnierz): „Tato! Tato! Wiesz, co Jezus mi

powiedział? Powiedział, że będzie chodził ze mną po górach! Tak, naprawdę! Yahoo! Tak właśnie mi powiedział (śmiejąc się i chichocząc z radości), będzie chodził ze mną po górach!” (śmiejąc się z podekscytowania).

W międzyczasie Pan ukazał mi się wyjaśniając, dlaczego ludziom z długotrwałymi lub przewlekłymi chorobami trudno jest doznać uzdrowienia. W czasie tych odwiedzin Jezus stał po mojej lewej stronie, gdy siedziałem, a Chris był na wózku inwalidzkim po mojej prawej. Chris jest pogodzony z tym, że poczeka na niebo. Nie ma zdolności umysłowej, by „uwierzyć” w uzdrowienie, i my jako rodzice akceptujemy to — nie możemy narzucić mu naszej woli ani przekazać mu głębszej wiedzy o wierze.

Mam serce do służby, ale jednak trzeba wykarmić rodzinę - dostarczanie pizzy.

W 1984 roku zaczęliśmy uczęszczać do kościoła, który wkrótce zaproponował mi stanowisko pastora pomocniczego, ale nie mogli mi za to zapłacić. W tym czasie prowadziłem restaurację z dostawą pizzy i utrzymywałem się z tego źródła.

Pastor złożył mi obietnicę, że sprzeda swój biznes i przejdzie na emeryturę, przekazując mi stanowisko pastora głównego z pełnym wynagrodzeniem. W poniedziałki zacząłem prowadzić popołudniowe spotkania „szkoły uzdrowienia”. Zawsze przychodziło 15–20 osób, siadaliśmy w kręgu, a ja nauczałem co tydzień jednego aspektu uzdrowienia. W tym czasie zacząłem poruszać się w darze Ducha, który Biblia nazywa rozeznawaniem duchów. Z otwartymi oczami widziałem świat naturalny, ale jednocześnie widziałem także wymiar Pana. Czasami rozeznawałem prawdziwe motywy ludzi, którzy coś mi mówili, ale najczęściej miałem wgląd w sferę duchową.

Na przykład widziałem nad kimś język ognia.

Zawsze miały one około pół metra wysokości, z mnóstwem mniejszych języczków i unosiły się nad głową danej osoby. W takich chwilach widziałem i słyszałem słowa Ojca do tej osoby, albo widziałem snop światła padający na kogoś i także słyszałem wtedy słowa Ojca, które kierował do tej osoby. Czasami zdarzało mi się to wobec wielu osób na każdym spotkaniu. W kwietniu Pan pokazał mi się po raz pierwszy i miało to miejsce w czasie nabożeństwa niedzielnego. Ten pierwszy raz opisałem w książce *Pursuing the Seasons of God*, więc nie będę wchodził tutaj w szczegóły.

Ale ważne jest, by wiedzieć, że te duchowe rzeczy miały miejsce od kwietnia przez całe lato, gdyż w czerwcu 1986 roku pastor i jego żona usiedli w naszym salonie, mówiąc, że jednak zmienił zdanie; że nie zamierza przechodzić na emeryturę i że dla mnie nie ma tam miejsca. W duchu zobaczyłem wielką dłoń, która wykonała coś jak cios karate, która spadła między nimi a nami. Wiedzieliśmy, że zostaliśmy wtedy uwolnieni. Jednak dalej służyliśmy w tym kościele tak, jakby nic się nie zmieniło, choć w duchu wiedzieliśmy, że dostaliśmy z tego miejsca zwolnieni, lecz w rzeczywistości naturalnej nic się jeszcze nie zmieniło.

To bardzo ważna lekcja.

Wielu ludzi wyczuwa w duchu, że czas w ich pracy dobiegł końca, ale zamiast czekać, aż Pan otworzy następne drzwi, odchodzą, a potem zastanawiają się, dlaczego cierpią niedostatek. To, że obłok unosi się znad danej pracy, nie znaczy, że musisz odejść w tym momencie. Pan postępuje się czasem pomiędzy momentem, kiedy taska się kończy, a kiedy obłok rusza dalej, aby człowiek wzrósł w cierpliwości, łasce i wytrwałości. Jeśli nie przerobisz tej lekcji, Pan później da ci kolejną okazję, abyś się tego nauczył. Musisz poczekać, aż obłok się przesunie, a nie działać od razu, gdy tylko zaczyna się podnosić. Rób to, co właściwie w sferze naturalnej – aplikuj, aktualizuj CV i tak dalej – ale nie ruszaj się, dopóki nie otworzą się kolejne drzwi.

Dla nas był to bardzo trudny czas. Wiedziałem, że Pan zamierza przywrócić mnie do pełnoetatowej służby, ale nie wiedziałem gdzie to będzie miało miejsce. Pan zaczął mi się pokazywać i uczyć różnych rzeczy, ale w kwestii finansów i ogólnego kierunku w życiu, było mi bardzo ciężko. W październiku 1986 roku Pan ukazał mi się w czasie krótkiego wyjazdu misyjnego do Meksyku (na który wysłał mnie kościół), co na zawsze zmieniło moje życie. To również opisałem w *Pursuing the Seasons of God* (napisz do mnie maila, a wyślę Ci PDF).

W tym czasie sprzedaliśmy pizzerię, zostaliśmy z długiem wobec urzędu skarbowego i zajęliśmy się szukaniem prawników w sprawie uszkodzenia mózgu Chrisa. Uświadomiliśmy sobie w pełni konsekwencje wychowywania dziecka z upośledzeniem umysłowym i niepełnosprawnością fizyczną. Lato i jesień 1986 roku były szczególnie trudne dla Barb, bo choć Jezus mnie odwiedzał, jednak nie uzdrowił w pełni jej pierwotnego syna. Prawnicy przeglądając dokumentację szpitalną stwierdzili jednoznacznie, że doszło tu do zaniedbania i przewidywali siedmiocyfrowe odszkodowanie. Zobaczcie to – prawnicy mówili nam o wielomilionowym odszkodowaniu, Jezus mnie odwiedzał i otwierał moje oczy na swoją rzeczywistość, nie mieliśmy w ogóle pieniędzy, więc sprzedawaliśmy rzeczy osobiste na cotygodniowych wyprzedażach garażowych tylko po to, by mieć co jeść i opłacać terapie Chrisa, nasz czas w ówczesnym kościele dobiegł końca, ale nie mieliśmy jeszcze dokąd pójść... i było tego jeszcze więcej. Wszystko to nas przytłoczyło i ostatecznie wycofaliśmy się z pozwu.

Po 8 miesiącach tej sytuacji, w niedzielę 1 lutego 1987 roku, Pan przemówił do mnie:

„Przygotuj się do przeprowadzki na koniec miesiąca”. Postuchaliśmy się i spakowaliśmy co nam zostało do pudeł i czekaliśmy. Dwa tygodnie później ktoś zadzwonił do kościoła (bo nasz telefon był odłączony) z pytaniem, czy nie objąłbym stanowisko pastora w południowo-wschodnim Kolorado. Poczujęm poruszenie w duchu, więc zorganizowaliśmy wyjazd w tamto miejsce. Było to zakurzone, rolnicze miasteczko na prerii wschodniego Kolorado. Gdy tam przybyliśmy, nasze duchy podskoczyły z radości – wiedzieliśmy więc, że to od Niego.

Do tej pory korzystaliśmy z pożyczonego samochodu, ale przeprowadzając się o 2,5 godziny dalej, potrzebowaliśmy teraz własne auto. Modliliśmy się i rozmawialiśmy o naszych potrzebach: czterodrzwiowy samochód, automatyczna skrzynia biegów, klimatyzacja, w dobrym stanie i wystarczająco duży dla całej piątki. Dzień później przejeżdżałem obok komisum samochodowego i poczułem coś w duchu, więc zawróciłem. Wśród wielu samochodów był tam biały, czterodrzwiowy Chevrolet Impala z 1977 roku. Mimo że miał 10 lat, wyglądał na zadbanego. Porozmawiałem z właścicielem komisum, że chciałbym go kupić, ale mogę płacić tylko ratalnie.

Powiedział mi, że samochód należy do kobiety z jego kościoła, a on tylko pomaga jej sprzedając go przez komisum. Okazało się, że ta kobieta była naszą wspólną znajomą, bo znała mnie z poprzedniego kościoła. Powiedziałem jej, że teraz w ogóle nie mam pieniędzy i że pierwszą ratę będę mógł dopiero zapłacić za trzy miesiące, ale że samochód potrzebuję już w tym momencie. Kobieta modliła się o to przed jeden dzień i w swym duchu odebrała, że to od Pana, więc zadzwoniła do kościoła, by przekazali mi, że sprzeda mi swe auto.

Nauka z tego była taka: nawet Bóg nie może poruszyć zaparkowanego samochodu. Modliliśmy się, określiliśmy nasze potrzeby, a potem zacząłem szukać auta. Robimy to, co wiemy, że można zrobić w sferze naturalnej, a potem On robi swoje. Widzimy to w Biblii, gdzie Jezus kazał tłumom usiąść w grupach po 50 i 100, a dopiero potem rozmnożył chleb i ryby. Najpierw kazał napełnić 6 stągwi wodą, a dopiero potem przemienił wodę w wino.

Przeprowadzka...

Przeprowadziliśmy się 1 marca 1987. Zamieszkaliśmy w małym domku obok kościoła. Przez mały rozumieć: kwadratowy dom, mający 2 sypialnie i 1 łazienkę, z fundamentem tak zniszczonym, że gdy butelka naszego najmłodszego syna spadała na podłogę, zawsze toczyła się na środek domu. Na naszym pierwszym nabożeństwie było 7 osób. Kilka tygodni później było 10 i cieszyliśmy się, że osiągnęliśmy dwucyfrowy wynik! Przez prawie 6 lat zmieniliśmy nasze miejsce czterokrotnie, w miarę jak się rozrastaliśmy. Prowadziliśmy wiele programów skierowanych na lokalną społeczność.

Przez cały ten czas Barb i ja nadal analizowaliśmy Ruch Wiary – widzieliśmy jego dobre strony, jak spójność z Bożym Słowem, lecz bardzo nas odpychało od tych, którzy popadli w różne skrajności. Mając niepełnosprawnego syna, będąc biednymi, odrzucając kilka ofert biznesowych, które uczyniłyby nas bogatymi, nie pasowaliśmy do obrazu pastora z Ruchu Wiary. W tym czasie byliśmy zbyt zajęci trzymaniem się Pana, aby się tym w ogóle przejmować, ale w naszym przypadku oznaczało to utratę kilku przyjaciół.

Bieda to mentalność, a nie stan konta.

Z jednej strony Bóg potężnie wśród działań nas - Pan regularnie mnie odwiedzał i uczył wielu rzeczy. Jednak w sferze naturalnej byliśmy bardzo biedni, żyjąc od ofiary do ofiary.

Kilka młodych matek zaproponowało Barb, by zgłosiła się po zasitek, bony żywnościowe, darmowe mleko i ser oferowane przez rząd dla rodzin o niskich dochodach.

Trzeba przyznać to Barb, że rozpoznała, że bieda to stan umysłu, a nie stan konta bankowego. Odrzuciła wszystkie te propozycje mówiąc, że zaufa Ojcu w kwestii naszych potrzeb, w tym mleka, sera i pozostałej żywności oferowanej przez programy pomocowe.

Mogę powiedzieć, że przez cały nasz czas tam – nigdy nam niczego nie brakowało. Jednak nadal czuliśmy się samotni, wyobcowani z Ruchu Wiary i od przyjaciół, skupiając się na tym, co najważniejsze w naszej relacji z Ojcem i z Panem. Pewnego stycznia kościół miał trudności z opłaceniem naszego czynszu, a to, co zostało dla nas jako wypłata, to tylko 15 dolarów. Tak - piętnaście dolarów - to nie literówka. Jednak On się o nas zatroszczył...

+++

Ta część będzie nieco dłuższa niż zwykle, ale mam nadzieję, że okaże się pomocna. Podczas naszego pobytu w małym miasteczku leżącym na preriach Kolorado, Pan wielokrotnie do nas przychodził i uczył wielu rzeczy. Część z nich została opisana w książce *Pursuing the Seasons of God*.

Styczeń, gdy nasze wynagrodzenie wyniosło tylko 15 dolarów.

Barb umiejętnie wykorzystywała każdą odrobinę jedzenia w domu, tworząc takie potrawy, że chłopcy nigdy nie zorientowali się, jak pusta była nasza spiżarnia. Jednak pewnego dnia, o godzinie 16:00, zwróciła się do mnie z wyraźną frustracją: „Jest godzina czwarta, a za pół godziny muszę zacząć przygotowywać kolację, a w domu nie mamy nic - absolutnie nic do jedzenia. Co zamierzasz z tym zrobić?”

Odpowiedziałem jej spokojnie, że sprawdziłem swoje serce i wiedziałem, iż znajdujemy się w samym centrum woli Pana. Jezus powiedział w Mt 6, aby nie martwić się o to, co będziemy jeść czy w co się ubrać, bo Ojciec o to się troszczy – a więc On to wszystko nam zapewni. Barb szybko odzyskała swój pokój i na tym się skończyło. Dziesięć minut później, o 16:10, pod nasz dom podjechała ciężarówka pewnych ludzi z naszego kościoła, którzy prowadzili mleczarnię. Powiedzieli, że poczuli wewnętrzne przynaglenie, by kupić nam jedzenie i podarować mleko. Ich samochód był wypełniony żywnością po brzegi. W ciągu 10 minut przeszliśmy od pustych półek i lodówki do całkowitego zaopatrzenia, włączając w to 5 galonów świeżego mleka. Dzięki temu o 16:30 Barb mogła rozpocząć przygotowania do kolacji – wszystko zgodnie z planem.

Kilka miesięcy później zauważyła na tylnym, zabudowanym ganku naszego wynajmowanego domu małe miejsce, które miało szerokość idealną na małą zamrażarkę (71 cm). Jej motywacją było to, by już nigdy więcej nie zabrakło nam jedzenia i uznała to za potrzebę, a nie tylko pragnienie.

Żyjąc w społeczności rolników i hodowców bydła...

... i mając do wykarmienia trzech synów i mnie, Barb poprosiła Ojca o zamrażarkę, która weszłaby w to miejsce. Dwa dni później zadzwoniła do niej kobieta z kościoła. Jej znajoma właśnie wyjeżdżała za granicę i chciała komuś oddać swoją zamrażarkę. Kobieta poczuła, by zapytać Barb, czy jej potrzebuje. Okazało się, że pasowała idealnie. Wtedy Barb powiedziała mniej więcej tak: „Dobrze Ojczy, dziękuję Ci za zamrażarkę, a teraz chciałabym napętnić ją wołowiną”. W niedzielę podeszła do niej inna kobieta, która miała ranczo i zapytała, czy Barb chciałaby przyjąć ćwierć tuszy wołowej – około 90 kilogramów mięsa. Zamrażarka wypełniła się po brzegi!

Schemat był zawsze taki sam: określ w sercu, jaką masz potrzebę, złóż konkretną prośbę o jej zaspokojenie, potem dziękuj, aż przyjdzie odpowiedź, i na koniec jeszcze raz podziękuj. Barb poszła jeszcze w tym jeszcze dalej i poprosiła Ojca: „Ojczy, dziękuję Ci za jedzenie, które ludzie nam przynoszą, ale często to nie są produkty, które zwykle kupujemy, a czasem są one przeterminowane. Czy mógłbyś sprawić, by zaczęli przynosić nam to, co lubimy?” Od razu wszystko się zmieniło. Barb naprawdę jest niezwykła.

Przykład: jemy tylko naturalne masło orzechowe, bez dodatków. Niejednokrotnie Barb była w trudnej sytuacji finansowej, a chłopcom kończyło się masło orzechowe. Kiedy w sklepie sięgała ręką po stoik, nieraz czuła ciężar w sercu, jakby słyszała: „Nie rób tego”. Postępnie odkładała stoik – a w niedzielny poranek znajdowała na naszej ławce w kościele dwie sztuki dokładnie tej marki masła, które zawsze kupowaliśmy.

W naszej okolicy uprawiano się głównie cebulę. Nieraz znajdowaliśmy na poboczu cebule, które wypadły z ciężarówek – takie „warzywne ofiary losu” pomagały nam wyżywić rodzinę, a do tego ludzie z kościoła też przynosili nam warzywa. Dzięki temu przez prawie sześć lat postępowania w tamtym kościele byliśmy w stanie się utrzymać.

Kilka słów różnicy między potrzebą a pragnieniem.

Doświadczenie nauczyło nas, że kiedy zachowujemy właściwe priorytety i ograniczamy prośby do prawdziwych potrzeb, Pan znajduje sposób, aby zaspakajając je włączyć w to też nasze pragnienia. Zawsze powtarzam, że w kontekście relacji z nami, On prowadzi nas od ogółu do szczegółu. Najpierw w duchu odczuwamy ogólne wrażenie, a kiedy się na nim skupiamy, dostrzegamy wtedy więcej szczegółów.

Tak samo jest w przypadku naszych prośb. Kiedy przedstawiamy Mu nasze potrzeby, On zdaje się z radością dodawać do nich także niektóre z naszych pragnień. Ale nie czyni z tego żadnego schematu, tylko po prostu z Nim rozmawiaj.

Opowiadałem poprzednio o domu, który wynajmowaliśmy w Tulsie. Naszą prawdziwą potrzebą były trzy sypialnie, dwie łazienki i garaż. Kiedy jednak Pan przyprowadził nas do tego domu, nie tylko powyższe potrzeby zostały spełnione, lecz także nasze liczne

pragnienia: większy salon i jadalnia, piękna kolorystyka wewnątrz, drewniana podłoga w kuchni, czerwony kominek z cegły (prosiliśmy tylko o kominek), modne wówczas blaty z drewna bukowego, ogromna lodówka w wyposażeniu... Prosząc jedynie o to, co niezbędne, otrzymaliśmy więcej niż oczekiwaliśmy. To była dla nas dobra lekcja.

Kiedy sfera naturalna przecina się z duchową, wtedy czynisz kolejne kroki.

W sferze naturalnej Chris zaczął mieć ataki padaczki – lekarze mówili, że to częste u nastolatków z uszkodzeniem mózgu i że potrzebował specjalistycznej opieki medycznej. Oznaczało to też, że potrzebował kształcenia specjalnego, którego żadna z trzech pobliskich szkół nie oferowała w 1992 roku. Dwaj pozostali chłopcy oraz Barb doszli do granic możliwości w kwestii edukacji domowej. Do tego doszedł kryzys w kościele – jeden ze starszych został oskarżony o niewłaściwe zachowanie. To wszystko miało miejsce w sferze „naturalnej”.

To właśnie wtedy, gdy to, co duchowe, przecina się z tym, co naturalne, człowiek wie, że nadszedł czas Pana, by dokonać zmiany.

Duchowo nasze serca stały się większe niż serce naszego zboru. Oni troszczyli się tylko o naszą małą dolinę. My jednak wzrosliśmy w naszej wizji i pragnęliśmy dotrzeć do całego świata. Uświadomiliśmy sobie, że dopóki Chris nie zostanie uzdrowiony, nie możemy wyjechać jako misjonarze nigdzie poza granice USA. Wiedzieliśmy, że coś musi się zmienić, bo wymagały tego naturalne okoliczności. Nie mieliśmy jednak duchowego prowadzenia, dlatego wiedzieliśmy, że nie możemy się ruszyć z miejsca, dopóki Pan nie wskaże nam kierunku.

W Księdze Liczb 9 Izrael miał czekać, aż obłok chwały uniesie się znad Przybytku, co było znakiem do rozpoczęcia pakowania się. Dopiero kiedy obłok się poruszył, oni ruszali za nim. W tym czasie czuliśmy, że obłok się podnosi, ale nie wiedzieliśmy dokąd ani kiedy ruszy. Musieliśmy więc czekać.

Pewnego dnia powiedziałem Ojcu: „Skoro my nie możemy wyjechać, może mógłbyś użyć mnie, bym szkolił innych, którzy wyjadą w naszym imieniu?” Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedział od razu: „Gdzie zawsze czułeś się najbardziej spełniony?” Przejrzałem w myślach wszystkie prace, które wykonywałem od nastoletnich lat i odkryłem wspólną cechę: najbardziej lubiłem małe grupy ludzi, z którymi mogłem się spotykać i budować relację – niezależnie od tego, czy była to postuga, czy praca fizyczna.

Pan powiedział mi wtedy...

... że wyznaczył mnie na dyrektora szkoły biblijnej w dużym kościele, przy którym działała szkoła K-12, ze szczególnym naciskiem na działalność misyjną. Nie wiedziałem jednak, gdzie to miałyby być. Jak bardzo bym się nie starał znaleźć czegoś takiego w Kolorado, nic nie przypominało tego, co mi opisał. W sercach jednak wciąż czuliśmy silne pociąganie w stronę Tulsy. „O NIE! Tylko nie Tulsa! Nie chcemy z powrotem do miejsca,

gdzie jest tak wielu absolwentów szkół biblijnych, że pracują na stacjach benzynowych!” (naprawdę tak powiedziałem Ojcu). Ale nie mogliśmy temu zaprzeczyć. Gdy zadzwoniłem do przyjaciela w Tulsie i opisałem mu, co Ojciec mi pokazywał, odpowiedział, że brzmi to jak Victory Christian Center, gdzie pastorem był Billy Joe Daugherty.

We wrześniu 1992 roku pojechałem tam, uczestniczyłem w środowym nabożeństwie, dowiedziałem się więcej o kościele, wziąłem udział w akcji ewangelizacyjnej – i wszystko to potwierdziło mi, że mamy przyłączyć się do tego miejsca. Kiedy wróciłem do Kolorado Barb również miała takie przekonanie, więc w grudniu 1992 roku przeprowadziliśmy się w okolice Tulsy. Wiedziałem, że mam zostać dyrektorem ich szkoły biblijnej, ale oni jeszcze o tym nie wiedzieli. Więc podjąłem się „zwykłej” pracy i wraz z Barb zaczęliśmy służyć jako wolontariusze w niedzielnej szkole dla dorosłych. Około 18 miesięcy później, pod koniec lata 1994 roku, dzięki relacjom, które nawiązaliśmy z częścią kadry szkoły niedzielnej, zostałem Zastępcą Dyrektora szkoły biblijnej, a następnie w 1997 roku Dyrektorem Wykonawczym.

Czego nauczyliśmy się w Victory?

To były najlepsze i najgorsze czasy :). W przyszłym tygodniu dodam epilog do tej 6-częściowej serii, gdzie podzielę się niektórymi zmaganiem, jakie mieliśmy w małżeństwie, lekcjami, które z nich wynieśliśmy, i tym, jak przez to wszystko wzrosliśmy. Ale na razie to, czego nauczyliśmy się jako liderzy w megakościele (lokalna gazeta w tamtym czasie szacowała liczbę wiernych na 13 000), czyli jak wygląda „profesjonalne chrześcijaństwo”. Tego właśnie się nauczyliśmy – profesjonalnej strony służby w „klamrze pasa biblijnego” w USA, gdzie znajduje się Tulsa - miasto Orala Robertsa, Kennetha Hagina, T.L. Osborna, Kathryn Kuhlman, Robertsa Liardona, Carltona Pearsona, Matki (Grace) Tucker i Billy’ego Joe Daugherty’ego a także wielu innych.

Uwielbiałem tę pracę – nauczanie około 600 studentów, którzy co roku przechodzili przez naszą szkołę, z czego około 130 studiowało w pełnym wymiarze godzin. Lubiałem zastępować pastora podczas nabożeństw, gdy tylko wyjeżdżał. Lubiałem spotkania z największymi nazwiskami prowadzącymi wielkie służby. Miałem byłych studentów, którzy zaczęli pracę u tych ludzi i słyszałem od nich różne historie. Nasz sąsiad, od którego kupiliśmy nasze trzy konie, był szefem ochrony największego wówczas „teleewangelisty uzdrowiciela” – więc widziałem i słyszałem wiele zakulisowych rzeczy, które po prostu nie były właściwe. Widziałem nacisk kładziony na rzeczy zewnętrzne i ukrywanie prawdy. Jeśli ktoś wskazywał jakiś problem, to jemu zaraz zarzucano, że sam ma ten problem. (Zobacz *Return of the First Church*).

Widziałem też tych, którzy wymknęli się uwadze, np. kobietę, która popełniła samobójstwo – była jedną z moich studentek i śpiewała w chórze. Jak to możliwe, że nikt jej naprawdę nie znał i że ona sama nie miała nikogo na tyle blisko, by ją powstrzymał? Widziałem brak gotowości do udzielania finansowej pomocy wiernym członkom i

pracownikom, gdy znaleźli się w sytuacjach kryzysowych. Widziałem także wiele innych rzeczy. Zacząłem szukać Ojca, porównując Pismo z tym, jak wyglądał „profesjonalny” kościół. Gdy zaproponowałem kilka zmian w kiepsko napisanym projekcie, zostałem skarcony. Nie mogłem zmienić Kościoła od środka, więc szukałem Pana.

Zmęczenie i obciążenie wynikające z tej pozycji zaczęło odciskać na nas piętno...

... szczególnie na małżeństwie i mojej relacji z dziećmi. Pracowałem długie godziny, czasami po 80 godzin tygodniowo, a byłem na etacie przez 6 lat. Chris, który miał wtedy 14-20 lat i nie chodził do szkoły, musiał w domu nosić pieluchę, ponieważ Barb nie była na tyle silna, by przenieść go na toaletę. On tego nienawidził i regularnie wpadał w złość na swoją mamę, a nawet bił ją z powodu sfrustrowania i wstydu, że musi załatwiać się w spodnie. To bardzo obciążało Barb. Moja rodzina wiele wycierpiąta, pozwalając mi pracować na etat, i nadal jestem im za to wdzięczny – wiem, że Pan też.

W roku szkolnym 1999–2000...

... modliłem się długo na językach tylko po to, by pozostać na tyle napęczniony Duchem, żeby móc dawać z tego studentom podczas zajęć. Byłem już u kresu wyczerpania. Od dawna cytowałem z Za 4:6: „Nie dzięki mocy ani sile, lecz przez mojego Ducha – mówi Pan”, ale brakowało mi w tym szerszego kontekstu. W Za 4:1–6 pokazane są 2 drzewa oliwne (Słowo i Duch), które zaopatrują dużą czaszę w oliwę. Czasza przelewa się do rury, która napętnia małe lampy oliwne. Przelewająca się oliwa napętnia lampy, ale czasza zawsze pozostaje pełna, zasilana przez źródła oliwy. Czasza to nasz duch, napętniany olejem Ducha. Ludzie otrzymują od nas tylko z naszego nadmiaru, a to, co znajduje się w naszej czaszy – w duchu, służy nam w naszym życiu. Doszedłem do punktu, że zacząłem już dawać innym z samej czaszy, a nie z nadmiaru – byłem zbyt zmęczony i zajęty, by mieć jakiś „nadmiar”.

Jeśli już nie ma nadmiaru, trzeba się zatrzymać i napętnić czaszę, bo inaczej zaczyna się dawać innym to, co było przeznaczone dla ciebie. Ku zaskoczeniu wszystkich, w maju 2000 roku zrezygnowałem. Przez pewien czas podróżowałem samodzielnie, a następnie C. Peter Wagner poprosił mnie, abym pomógł mu założyć stowarzyszenie szkół biblijnych, które wydawało certyfikaty zamiast dyplomów akademickich.

Wkrótce, mieszkając w Tulsie...

...co 4–6 tygodni podróżowałem do Colorado Springs, a później, gdy mianował mnie Kanadyjskim Dyrektorem Narodowym swojej szkoły biblijnej – do Red Deer w Albercie i po całej Kanadzie. Cały czas szukałem, jak Pan chciałby, abyśmy prowadzili Kościół, jaki miałby być Jego następny ruch i jaka była w tym moja rola. Gdziekolwiek podróżowałem, pastory i dyrektorzy szkół biblijnych zadawali te same 3 pytania: Jak rozwinąć mój kościół (albo szkołę)? Jak sfinansować mój kościół (albo szkołę)? Jak zatrzymać ludzi, żeby nie odchodzili z mojego kościoła (albo szkoły)? Każdy twierdził, że jest wyjątkowy, a jednak wszyscy byli tacy sami.

4 lutego 2001

Byłem w okolicach Toronto, kiedy w środku uwielbienia podczas nabożeństwa zobaczyłem Pana. Powiedział wtedy między innymi: „Zobacz to, co ja widzę. Ludzie biegną tu i tam, z jednego spotkania na drugie, szukając widowiska, myśląc, że TO jest właśnie nadprzyrodzone, podczas gdy umyka im nadprzyrodzone działanie, które odbywa się w ich wnętrzu, w ich sercu, bo proces uczniostwa JEST nadprzyrodzony”. I dodał jeszcze: „Jak było na początku, tak musi być teraz. Ja poruszam się w relacjach”.

4 listopada tego roku Pan ukazał mi się ponownie mówiąc, abym zaczął kościół domowy i sieć kościołów domowych. Powiedział: „Ustrukturyzuj to tak, aby ułatwić rozwój kościołów domowych na całym świecie”. Pod koniec 2001 roku Peter rozpoczynał to, co z czasem stało się znane jako NAR – Nowa Reformacja Apostolska – gdy ja w tym czasie zmierzałem w przeciwnym kierunku i nie zgadzałem się z jego kierunkiem.

Zrezygnowałem, rozstaliśmy się w przyjaźni; on kontynuował budowanie NAR, a my rozpoczęliśmy Międzynarodowy Kościół Bez Murów (*The Church Without Walls International*).

+++

EPILOG

Jak wytrwać w małżeństwie

Mam nadzieję, że czytając nasze świadectwo, mogliście nas lepiej poznać i wynieść z tego coś pomocnego dla samych siebie. W tym epilogu chciałbym skupić się na tym, co robiliśmy źle i dobrze, aby pozostać małżeństwem i wciąż kochać się przez wszystkie te lata.

50 lat randkowania

W październiku 2024 Barb wspomniata, że właśnie obchodzimy 50 rocznicę naszego chodzenia ze sobą, ponieważ to w październiku 1974 poprosiłem ją, aby została moją dziewczyną. Często otrzymuję e-maile od ludzi, którzy albo chcą się pobrać, albo zastanawiają się, czy osoba, z którą się spotykają, jest „tą jedyną”, albo z drugiej strony - zastanawiają się nad rozwodem lub też odczuwają tęsknotę za współmałżonkiem, który odszedł.

Pierwszym elementem jest to, że my wciąż ze sobą ‘randkujemy’. Nadal otwieram przed nią drzwi auta lub drzwi wejściowe tak, jakbyśmy dopiero zaczęli ze sobą chodzić. Idąc chodnikiem, idę od strony ulicy, aby ją chronić. To moja dziewczyna. Regularnie znajdujemy czas na nasze ‘randki’. Gdy Chris był w domu i mieliśmy jego młodszych braci, którzy mogli go przez chwilę przypilnować, mogliśmy wtedy pójść na spacer niedaleko domu, wybrać się do restauracji albo na fast-food – aby choć przez chwilę móc cieszyć się naszą relacją ze sobą.

Świętujemy słowa „kocham cię” bardziej niż trudne chwile, przez które przeszliśmy, ale to właśnie trudności sprawiają, że słowa „kocham cię” nabierają głębszego znaczenia.

Akceptowanie tego, czego nie możesz zmienić w drugiej osobie.

Jesteście osobnymi istotami, które zamieszkują pod jednym dachem. Badania wykazały, że jednym z kluczy do długiego małżeństwa jest zdolność akceptowania w swoim współmałżonku rzeczy, które cię irytują, i świadomym skupiania się na byciu wdzięcznym za rzeczy, które są pozytywne. Nie pozwól, aby drobne nieporozumienia stały się powodem do zerwania. Inność nie musi oznaczać czegoś złego. Rozmawiaj sam ze sobą – czy to wtedy, gdy dopiero randkujecie i zastanawiasz się, czy to „ta jedyna”, czy też kiedy jesteście już małżeństwem i zmagacie się z tym, by w nim pozostać. Nie przemieniaj małych wybojów na drodze małżeństwa w wielkie góry. Przejdź nad tym do porządku, kroczone w miłości, dostosowuj się i wzrastaj. Nie oczekuj doskonałości od swojego współmałżonka – to mrzonka. Nie każdy punkt na twojej liście cech idealnego partnera musi być odhaczony – jeśli myślisz inaczej, to jesteś bardzo niedojrzały i ignorujesz rzeczywistość. Dorośnij!

W naszym związku, zanim jeszcze nawet się zaręczyliśmy (ale wiedząc, że się pobierzemy), ustaliliśmy zasadę, że nigdy nie pojawi się w nim słowo na „R” (rozwód). Postanowiliśmy, że w każdej trudnej sytuacji wybierzemy możliwość wzrostu w Chrystusie, wzrostu jako ludzie - razem, i nigdy nie będziemy przywoływać tego słowa na „R”. Zamiast tego, w każdej sytuacji będziemy wzrastać w Chrystusie. Gdy chodziliśmy już ze sobą, parę razy mieliśmy rozmowy typu: ‘a co gdyby’? Co, jeśli zostaną sparaliżowany – czy zostaniesz przy mnie? Co, jeśli przytyję do 90 kilogramów? Co, jeśli nie będę codziennie ścielił łóżka? Co, jeśli nie będę umiał naprawiać rzeczy w domu? Co, jeśli wrócę z pracy i nie będę miała ochoty ugotować obiadu – czy wtedy ty przejmiesz obowiązki? Te gdybania pomogły nam zastanowić się nad tym, jak naprawdę głęboka jest nasza miłość.

Jak myśli facet...

Mężczyźni z natury starają się rozwiązywać problemy i czynią tak od czasu gdy Adam został umieszczony w Edenie (przed stworzeniem Ewy), a Pan pokazał mu ogród, kazał mu nazwać zwierzęta, itd. Potem pojawiła się Ewa i spojrzała na cały ogród i wszystkie przygotowane dla niej zwierzęta. Od tamtej pory mężczyzna jest zaprogramowany do rozwiązywania problemów i widzi jeden, konkretny problem przed sobą. Ewa zaś, która w momencie stworzenia zobaczyła od razu cały skończony obraz, myśli teraz jak ‘talerz spaghetti’ – każdy makaron jest połączony z każdym innym. Każda sprawa jest powiązana z inną. Mężczyzna widzi tylko jedną kostkę czekolady, kobieta zaś widzi całą tabliczkę – dla niej wszystko jest ze sobą wzajemnie powiązane.

Mężczyzna ‘kostka czekolady’, stojąc przed samochodem, który nie chce rano odpalić, myśli: ‘Hmmm, może to akumulator. A może paliwa nie ma... Jest? To może problem z

elektroniką'. Ona zaś – 'talerz spaghetti' myśli: 'Spóźnię się do pracy. Jak dzieci dostaną się do szkoły? Mam prezentację i spóźnię się. Szef tego nienawidzi. Mogę zostać zwolniona. Będzie mi wstyd. Judy mnie nie znosi i chce mnie wygryźć, więc to może dać jej przewagę. Jak nasza córka dostanie się na lekcję pianina? Muszę wpaść do sklepu, co zjemy na kolację?' itd., itp. Wszystkie te rzeczy kłębią jej się w głowie, gdy komunikuje ci, że samochód nie chce zapalić.

Panowie: Kiedy ona mówi: 'Samochód nie chce zapalić', **odczuwa** wszystko to, co wspomniałem powyżej. To a nawet więcej zawiera się w jej krótkim przekazie: 'samochód nie chce zapalić'. Słyszając to nie skupiaj się tylko na przekazanej informacji, ale na emocjach ukrytych w jej słowach.

Panowie – nauczcie się słyszeć jej emocje.

Odpowiadajcie na napięcie, które wyczuwacie w jej głosie. Potraktujcie jej słowa jak pojemnik pełen trosk, lęków, zmartwień itp. Słowa to naczynie, ale musicie usłyszeć to, co ono zawiera. Odnoście się do jej obaw oferując rozwiązanie, zanim jeszcze sprawdzicie akumulator. Gdy usłyszysz: 'Samochód nie chce zapalić' – działaj i pomyśl od razu o makaronie w jej głowie i zaproponuj: 'Mogę teraz podrzucić cię do pracy, a później wezwać lawetę albo poprosić sąsiada, żeby zerknął. Mam dziś lekki dzień, więc mogę po południu zawieźć naszą córkę na lekcję pianina. Możemy zamówić zakupy z dostawą, mogę je odebrać po lekcji pianina albo pójdziemy coś zjeść'. Pomyśl o jej emocjach, obawach i TO właśnie rozwiąż.

WIELE razy nie rozumiałem reakcji Barb, więc po prostu pytałem: 'Czego się boisz? O co się martwisz? Pomóż mi to zrozumieć'. Wiele razy musiała mi to wytłumaczyć, abym był w stanie zająć się tym i rozwiązać jej problem.

Panowie – to naprawdę nabyta umiejętność. Przyznaję, że nie jest to dla nas czymś naturalnym i wciąż, po 50 latach wspólnego bycia ze sobą, uczę się myśleć: 'czego ona się obawia?', gdy przedstawia mi swój problem. Ale ona chce, żebyś go rozwiązał, więc drogie Panie – pozwólcie mu rozwiązać to po swojemu. Nie kontrolujcie go w szczegółach. Może jego sposób się nie sprawdzi i dopiero po czasie i wydanych pieniądzach nauczy się, że wasz sposób był jednak lepszy. Jednak często rozwiąże problem w sposób, na który same byście nie wpadły. Dwa słowa, które każdy mężczyzna kocha usłyszeć, to... „miałeś rację” :).

Nauczyłem się, że Barb nigdy nie będzie myśleć tak jak ja, a ona nauczyła się, że ja nigdy nie będę myśleć tak jak ona. Przestańcie oczekiwać, że będziecie myśleli tak samo. My, mężczyźni, reagujemy na słowa i możemy coś robić bez żadnych ukrytych motywów. Dla nas to po prostu 'kostka czekolady' – problem do rozwiązania. Więc Panie – przestańcie doszukiwać się w każdym naszym słowie i czynie powiązań z całym waszym 'talerzem spaghetti' myśli. Do dziś często mówię Barb: 'Słuchaj, to po prostu odpowiedź na Twoje pytanie. Nie ma w tym żadnych emocji, ukrytych motywów, planu B, żadnej manipulacji

– to po prostu ‘kostka czekolady’ - problem, który próbuję rozwiązać’. WCIĄŻ powtarzam takie rzeczy, gdy odpowiadam na jej pytania, żeby pomóc jej przetrączyć się w mój tryb ‘kostki czekolady’, ponieważ ona doszukuje się połączeń ‘jednego makaronu z drugim’ na jej ‘talerzu spaghetti’, gdy ja tylko odnoszę się do konkretnego problemu i nie mam związanych z tym żadnych emocji, czy podtekstów.

Zawsze, ale to zawsze byłem wierny Barb a ona mnie.

Na tym polega różnica, dlaczego mężczyzna złapany na zdradzie powie: „Ona nic dla mnie nie znaczyła”, ponieważ postrzega romans jako ‘kostkę czekolady’. Żona jednak rozumie cudzołóstwo jako jeden makaron połączony ze wszystkimi innymi i dla niej znaczy to wszystko.

Kobieta może zapytać: ‘Jak wygląda ta sukienka?’ – i myśli wtedy o sukience, włosach, biżuterii, butach, makijażu. Ale ty słyszysz ‘sukienka’ i odpowiadasz: ‘Jest w porządku. Nie jest to moja ulubiona, ale jest OK’ – a ona w tym słyszy, że jej sukienka nie pasuje do butów, które nie pasują do kolczyków, które nie pasują do jej fryzury... Mężczyźni, zróbcie sobie przystługę: rozwiążcie problem całego ‘talerza spaghetti’, zanim jeszcze otworzycie usta. Skupcie się na całości – zróbcie krok wstecz, aby dostrzec z perspektywy całą tabliczkę czekolady a nie tylko jej jedną kostkę!

Panowie – usłyszcie obawy, zmartwienia, stres kryjący się za jej słowami. Reagujcie i odpowiadajcie bardziej na emocje niż na same słowa. Przyjmijcie i zajmijcie się uczuciami, które niosą wypowiedziane słowa. WTEDY, gdy one zostaną uwzględnione, pozwoli wam rozwiązywać problem, w ramach jej granic. Drogie Panie – pozwólcie mężczyźnie rozwiązać problem. Zrobi to inaczej w większości przypadków, jednak problem zostanie rozwiązany. Przestańcie mówić mu, jak ma rozwiązywać problem, o którym mu powiedziałyście. Nie kontrolujcie wszystkiego w każdym szczególe – miejcie w niego wiarę. Nie próbujcie zmusić współmałżonka, by myślał jak wy – nauczcie się akceptować różnice i pozwólcie mu działać.

+++

Zakończę tę serię kilkoma dodatkowymi rzeczami, których nauczyliśmy się po drodze...

Kultura „bratniej duszy”, „księżniczki”, „dopełnij mnie”

Kilka lat temu w Azji Wschodniej zdiagnozowano tzw. „syndrom księżniczki”. Polega on na tym, że młode kobiety przez całe życie słyszały, że są księżniczkami, i w to uwierzyły. Myślą teraz, że życie kręci się wokół nich – ich włosów, paznokci, ubrań, zainteresowań i ładnych rzeczy – i stawiają siebie w centrum uwagi, nie spodziewając się, że będą musiały wnieść do związku coś od siebie. W małżeństwie objawia się to tym, że żona nie robi nic, by wnieść coś do związku, ale oczekuje, że mąż będzie jej służył. Widziałem to kilka razy i we wszystkich przypadkach skończyło się to rozwodem. W małżeństwie nie ma miejsca na narcyzm. Żona-księżniczka całym dniami siedzi, nie posprząta pustych

opakowań po chipsach, nie gotuje, nie sprząta, nie pierze, nie umie trzymać się budżetu – a on wraca z pracy i robi wszystko. To właśnie syndrom księżniczki.

Jest też w kulturze popularnej inna idea, zwana „bratnią duszą”. To termin psychologiczny - bardzo stary, występujący nawet w judaizmie. Problem pojawia się, gdy ktoś wierzy, że gdzieś tam istnieje jedna, jedyna bratnia dusza, przeznaczona dla niego. Ponieważ wierzy, że jego partner jest mu tym przeznaczonym, rodzi to wobec niego nierealistyczne oczekiwania. To sprawia, że pary wchodząc w poważny związek lub żeniąc się, wcześniej nie „odrabiają pracy domowej”, czyli nie poznają się, nie uczą się komunikacji, nie uczą się, jak się kłócić, jak rozwijać praktyczne umiejętności potrzebne, gdy dwoje ludzi mieszka pod jednym dachem.

Forma miłości zastępuje jej istotę. Pewnego dnia zauważają, że ich „bratnia dusza” nie jest doskonała – a może raczej, że dostrzegali te niedoskonałości od początku, ale ciągle myśleli, że mogą je zmienić albo że to nie są sprawy kluczowe. Wtedy pojawia się rozczarowanie, czasem gorycz, a drobiazgi urastają do rangi wielkich problemów.

Czy moja żona mnie dopełnia, a ja ją? Tak. Czy jest moją bratnią duszą, a ja jej? Tak. Czy idziemy w tym samym kierunku wzrastając w Chrystusie, w pobożności, w szukaniu dobra drugiej osoby? (Bez prób zmieniania się nawzajem). Tak. Nie mamy innych motywów, niż aby błogostawić się i kochać nawzajem. To prawdziwe życie i podejmowane trudne decyzje, gdy kochasz tę osobę, ale w danej chwili jej nie lubisz. Ale ją kochasz i dostosowujesz się, wzrastasz jako człowiek w Chrystusie.

Tamtego sierpnia 1978 roku, zanim Barb i ja pobraliśmy się we wrześniu...

...Ojciec uczył mnie z 1 Tm 5:14, gdzie jest powiedziane m.in.: „*Chcę, żeby młodsze kobiety wychodziły za męża, rodziły dzieci, zarządzały domem...*”. W przypisie mojej Biblii słowo „zarządzać” było przetłumaczone jako „rządzić rodziną” (i rzeczywiście tak jest w grece). W moim ledwie dwudziestoletnim umyśle, miesiąc przed ślubem, werset mówiący, że żona ma rządzić domem, był sprzeczny ze wszystkim, co słyszałem lub zakładałem w kwestii chrześcijańskiego małżeństwa i powiedziałem to Ojcu wprost.

On odpowiedział: „Czym jest dom (house)?” Powiedziałem: „To budynek – ściany, dach, instalacje itp”. On na to: „Bardzo dobrze. A czym jest ognisko domowe (home)?”

Odpowiedziałem: „Ognisko domowe to rzeczy niematerialne – pokój, bezpieczeństwo, miłość – które sprawiają, że dom staje się domem”. On znowu: „Bardzo dobrze. Żona jest głową domu (house), a mąż jest głową ogniska domowego (home).”

To jeszcze bardziej mnie zdezorientowało, więc powiedziałem: „Ojczy, skoro tak, to znaczy, że jeśli zatka się zlew w kuchni, a ona jest głową domu, to ona powinna to naprawić, bo to część domu”. On odpowiedział w sposób, który wyznaczył nam kurs na długie i szczęśliwe małżeństwo: „Tak, może to zrobić. ALBO też może poprosić głowę ogniska domowego, żeby się tym zajął, bo jeśli zlew nie będzie naprawiony, to wpłynie to na jakość ogniska domowego”.

Zrozumiałem wtedy wyraźnie, że w małżeństwie, które miałem zawrzeć, to ja jestem odpowiedzialny za niematerialne cechy ogniska domowego. Miałem być duchową głową, tak jak Chrystus kocha Kościół, tak ja miałem kochać swoją żonę – On jest miłością, radością, pokojem, bezpieczeństwem w Nim, i to właśnie miały odczuwać moja żona i przyszłe dzieci. Jesteśmy jedno, lecz dekoracje, gotowanie i posiłki to część domu i Barb świetnie zarządza tym domem. Ale ja jestem odpowiedzialny przed Bogiem za to, by nasz dom był także ogniskiem domowym – pełnym pokoju, radości, bezpieczeństwa, łaski – tak, abyśmy razem przemienili dom w prawdziwy dom (ognisko domowe).

„Potrójny sznur szybko się nie zerwie” – to nie znaczy, że trzecią nicią w nim jest mama lub siostra.

To znane wyrażenie z Koh 4:11-13 mówi o tym, że to Pan jest tą trzecią nicią tworzącą mocne małżeństwo, dzięki której „nie jest łatwo je zerwać”. Ale często bywa tak, że żona bardziej ceni opinie matki, siostry czy przyjaciółki niż męża – albo mąż robi to samo ze swoją matką. Kochani – stawiajcie granice! W każdym zdrowym małżeństwie, która ma dobre relacje ze swoimi rodzinami, przychodzi moment, kiedy para musi ustalić zasady i wyznaczyć granice. Może jakieś uczucia zostaną zranione, ale mąż i żona razem muszą zdyscyplinować się, by trzymać innych na dystans i wpuszczać ich na swoich zasadach, i przede wszystkim – stawiać opinię współmałżonka ponad wszystkie inne. Kropka.

Kiedy kochasz ją, lecz w tej chwili jej nie lubisz...

Kiedy kochasz osobę, ale w danej chwili jej nie lubisz, wtedy musisz wrócić do sedna tego, co w niej kochasz. Wracasz do tych rzeczy, które sprawiły, że się w niej zakochałeś. W ten sposób, gdy Barb i ja mamy poważną sprzeczkę, mija ona jak letnia burza, a potem zapominamy o niej i wracamy do punktu wyjścia. Cofamy się, wracamy do podstawowej przyczyny, dla której się kochamy, i to sprawia, że w szerszej perspektywie powód naszej kłótni zaczyna wydawać się drobiazgiem.

Paweł napisał w Ga 2:9, że gdy Piotr, Jakub i Jan „poznali łaskę”, jaka została dana jemu i Barnabie, podali im prawicę na znak wspólnoty i zgodzili się, że tamci trzej pójdą do Żydów, a Paweł i Barnaba do pogan. Poznali łaskę. Piotr później napisał w swoim ostatnim liście (2 P 3:15-16), że niektóre rzeczy, które pisze Paweł, są trudne do zrozumienia.

W małżeństwie czy przyjaźni nie zawsze ważne jest, byś rozumiał lub zgadzał się z osobą, którą kochasz. Ważne JEST, byś „dostrzegał łaskę” w niej, szanował ją, zwłaszcza gdy ta łaska dotyczy obszaru innego niż temat obecnej kłótni. Kochaj łaskę Chrystusa w tej osobie i to, co On w jej życiu uczynił (i dary, które jej dał). Dostrzegaj Bożą łaskę w jej życiu i kochaj to, nawet jeśli nie kochasz innych rzeczy w tej osobie. Kochaj łaskę. Szukaj darów, które dał jej Bóg – bo to właśnie one sprawiły, że się w niej zakochałeś. Gdy

pojawia się konflikt, przestaw mentalnie i emocjonalnie swoją uwagę tę łaskę, na te rzeczy, które cię w niej urzekły.

Poddawajcie się sobie nawzajem w Chrystusie

Postuszeństwo jest czynem, lecz poddanie jest postawą serca. Poddanie się oznacza, że dajesz komuś miejsce w swoim sercu, by miał nad tobą pewien autorytet, albo w jakiś sposób dopuszczasz go do swojego życia.

Można być poddanym, będąc jednocześnie nieposłusznym. Nastolatek może posprzątać pokój, ale w sercu jest zły, zgorzkniały – nie jest poddany. Żona może w nieposłuszeństwie iść do kościoła, gdy jej niewierzący mąż tego zakazuje, ale pozostaje mu poddana, będąc wspianą żoną i/lub matką.

Instrukcje Pawła mówią, by poddawać się sobie nawzajem „w Chrystusie”, co oznacza, że możesz być poddany współmałżonkowi, ale jeśli prosi cię o coś, co byłoby niezgodne z tym, co zrobiłby Jezus, nie musisz się na to zgadzać. Każdy ma prawo chronić swoje ciało, swoje emocje przed niegodziwymi rzeczami, których współmałżonek może wymagać w imię postuszeństwa. To prawo dotyczy wszystkiego – od sypialni po napad na bank – jeśli coś jest sprzeczne z twoim sumieniem lub jest moralnie czy etycznie złe, możesz być nieposłuszny, jednak pozostając poddany w sercu. Ten, kto wymaga od współmałżonka rzeczy niemoralnych, powinien zająć się sam swym problemem.

Oboje przechodzimy przez trudności, by po drugiej stronie konfliktu stać się jednością.

Pracujemy ramię w ramię dzieląc się obowiązkami. To nasz dom, nasza kuchnia, nasze pranie – a nie jej czy moje. Mówiąc to, każde z nas ma swoje obszary, swoje sposoby robienia rzeczy, i szanujemy to nawzajem. Dajemy sobie wolność bycia indywidualnościami. Jesteśmy „obecni” w naszym związku i wnosimy wkład w jego dobro.

Wczoraj (w momencie pisania tego) pracowaliśmy w kuchni razem z Barb, przygotowując „kurczaka nerkowcowego” ze smażonym ryżem. Ja zająłem się ryżem a ona kurczakiem. Powiedziała nagle: „Uwielbiam pracować razem w kuchni”, a ja odpowiedziałem, że ja też, bo to jedna z tych fajnych chwil razem. To, jak poruszamy się wokół siebie w kuchni, wygląda jak dobrze wyreżyserowany taniec. Mój ryż był gotowy dokładnie w tym samym czasie, co jej kurczak. Ale na początku byliśmy jak Trzej Stooges, bo musieliśmy nauczyć się, jak się poruszać... Teraz jesteśmy jak Fred i Ginger tańczący razem. I to ona robi wszystko, co Fred, ale w szpilkach :) (Dla tych, którzy nie wiedzą, kim oni są – obejrzyjcie film z Fredem Astaire’em i Ginger Rogers albo wyszukajcie w YouTube fragmenty ich tańca ;)).

Pamiętam, jak pierwszym tygodniu naszego małżeństwa, w naszym małym mieszkaniu na piętrze, Barb powiedziała do mnie: „Śmieci są pełne”. Odpowiedziałem: „To je

wynieś”. Ona na to: „W naszym domu zawsze to mój tata wynosił śmieci”.
Odpowiedziałem: „W naszym domu, kto dopełnił kosz do końca, ten wynosił śmieci”.
...Od tamtej pory to ja wynoszę śmieci, w ten sposób - w pewnym sensie, kładę swoje życie :)

Celebrujemy siebie nawzajem i okazujemy sobie szacunek w prostych rzeczach, jak np. brak telefonów przy stole. Jedną z umiejętności, której się nauczyłem i wciąż nad nią muszę pracować, to nie odbieram telefonu, gdy ona w tym momencie do mnie mówi – nie chcę przerywać jej wypowiedzi. Szanuję ją najpierw w swoim sercu, a potem wyrażam to w praktyce.

Odrobiliśmy wiele lekcji i można by opowiadać o wiele dłużej, ale może to już innym razem. W kolejnym tygodniu nowy temat, a do tego czasu wiele błogostawieństw.

John Fenn